

Bydgoski spacer z Jeremim Przyborą – odc. 2

– Mama

"Jej zgrabne nóżki w czarnych gazowych pończochach, które wzdłuż łydek przecinały równiutko szew, poprowadziły mnie, sędziwego «panicza», korytarzem ku schodom. Na stopniach czerwony chodnik przytrzymały mosiężne pręty. [...] Opięte czarnym aksamitem pośladki, które energiczny krok wprawiały we wdzięczne półobroty (tak, to niewątpliwie była Kazia), zatrzymały się przed drzwiami z numerem 113. Kazia zapukała, a kiedy usłyszeliśmy «proszę», wypowiedziane głosem, do którego mój był bliźniaczko podobny, uchyliła drzwi..." - tak wróciliśmy do miejsca, w którym w poprzednim odcinku zostawiliśmy mistrza Jeremiego. Tak, wróciliśmy do hotelu "Pod Orłem" w Bydgoszczy. Tak, wróciliśmy do trzeciego tomu **"Dzieł (niemal) wszystkich"**, pt. **"Przymknięte oko opatrności. Memuarów części wszystkie.**

Proszę mi wierzyć - miło jest wrócić do narracji, jaką pozostawił nam mistrz Jeremi. Gdyby to miała być ze strony czytelniczki "orka na ugorze", to uciekałbym od tego (i innych tomów), gdzie pieprz rośnie. A tak nie jest. Zresztą znając twórczość pana Przybory ryzykowałem, że Jego proza doskonale dopełni mi mój stan wiedzy głównie opartej na twórczości kabaretowej. Nie wiem ile odcinków przyjdzie mi jeszcze wykroić z całości. Jest w czym "kopać", ale to mają być *tylko* bydgoskie spacery.

Podejrzewam, że ostatni odcinek mógł nam nachaotyczyć trochę, że jakaś dziwnie dzika ta Bydgoszcz AD 1982, a hotel "Pod Orłem", to jakaś dognębiająca szmira mieszkalna. Trudno. Tak chciał Autor. Ja tylko krocę za Nim, jak bezmyślny osieł. Tym bardziej miło mi było zacząć od... pani Kazi? *"Ale dlaczego tak ważny był pokój nr 113?"* - niecierpliwi się każdy Czytelnik? Cytuję za Autorem wypowiedź pokojówki Kazi: **"Ojczulek pana, pan prezes, zatrzymał się w apartamencie 113 i czeka [...]. Przepraszam, że obudziłam, ale pan prezes koniecznie chce się z panem zobaczyć. Proszę za mną"**. Sen? Sen! Ale jakże piękny: **"I oto, po raz pierwszy od jego śmierci przed półwiekiem, zobaczyłem ojca. siedział na rozłożystym leniwcu, w kręgu światła stojącej obok lampy"**. Czy w naszych snach nie wracają do nas nasi czcigodni zmarli? Nie? To kiedyś wrócą. Zapewniam. Wspomnienie z Ojcem, to co mówił, bardzo nam przybliżają obu panów Przyborów.

Tego, co teraz tu napiszę nie ma w czytany tomi, ale wychodzi na to, że ojciec mistrza Jeremiego Stanisława obojga imion, pan Stefan Przybora de facto pisał się jako... ***Stefan Tolkaczewicz-Przybora (10 VII 1875- 24 VII 1931)***. Informację tej treści odnajdziemy na grobie rodzinnym na cmentarzu ewangelicko-reformowany w Warszawie przy ulicy Żytniej 82. Sam jestem zaskoczony. Ale proszę zwrócić uwagę, jak to często bywa przy czytaniu: szukamy uściśleń, ciągu dalszego, czegoś, co nazywamy *"treścią poza podręcznikową"* - i wtedy wpadamy na podobne drobiazgi, zaczynamy szukać, interesować się, nabiera smaku podobne *"śledztwo"*. Oczywiście pozostaje w nas pytanie: *dlaczego w rodzinie Przyborów pozbyto się pierwszego członka nazwiska?* Znam podobne przypadki pośród mych krewnych i powinowatych. Może zrobię rewoltę i powrócę po 160. latach do dwuczłonowości swego rodzowego nazwiska?

Po tak cennych dygresjach wracam do tego, co rzeczywiście napisał o swym stano-wojennym pobycie nad Brdą mistrz Jeremi Przybora: **"Dzień, który nadszedł po nocy, był jakby nieco rozjaśnioną tej nocy wersją: ciemny, ponury. Był też jak noc, która go poprzedzała, pełen błota. Błoto pokrywało chodniki i jezdnie. Jego bryzgi znać też było na twarzach apatycznych przechodniów"**. Czy oprócz szarzyzny AD 1982 nie ma w tym wspomnianiu, co poruszyłoby choć jakąś strunę... pamięci narodowej? Przecież, to czas, kiedy trwał mrok stanu wojennego! No to trafiamy na taki zapis: **"Nagle przemaszzerował oddziałek żołnierzy w polowych mundurach, z bronią gotową do strzału, waląc butami w bruk z taką siłą, że błoto przyskało również na twarze przechodniów. Nie oszczędziło i mojej"**. Nie da się uciec od historii!...

"Zanim nadszedł następny patrol stanu wojennego, skręciłem w przecznicę, którą skierowałem się do urzędu" - i tu nam Mistrz pozostawił pole do obudzenia własnej wyobraźni.

Bo ani nie podaje, jaka to była owa "przecznica" i nie dał wskazówki co do jakiego "urzędu" trafił. No, ale przeciętny bydgoszczanin, to nie jakiś w kij dmuchany kretyń i... myśli. Chyba można puścić wodzę *fantazji przestrzennej* i zaryzykować, że pan Jeremie Przybora skręcił w Parkową i dotarł do gmachu Wojewódzkiej Rady Narodowej, tam gdzie 19 III 1981 r. doszło do pamiętnego pobicia działaczy bydgoskiej "Solidarności". **"W urzędzie sympatyczna urzędniczka powitała mnie nie tyle chlebem i solą, co mydłem i ręcznikiem. Wręczyła mi też szczotkę do czyszczenia odzieży i wskazała drogę do łazienki"** - czytamy dalej. I jaką chwalebłą opinię wyraziła o ówczesnym Ludowym Wojsku Polskim, co to maszeruje, buciarami chłapie (bo im każą): **"Ale w gruncie rzeczy to porządne chłopaki, niech mi pan wierzy. Starców i dzieci oszczędzają, jak się okaże, że ochlapali wdowę po kombatancie, to przepraszają. Dobre mają serca"**. Taka retoryka może w nas dziś tylko wzbudzić grymasik politowania. Widać w '82 byli równi i równiejsi w kwestii ochlapań? Byli! Mam tylko nadzieję, że nikt się zbytnio nie wzruszył na szlachetność odruchów LWP?

I właśnie w tym urzędzie dowiadujemy się, jaki był rzeczywisty cel podróży mistrza Jeremiego do Bydgoszczy. Rozrywka? No, brzmi groteskowo z racji na czas i miejsce akcji. Podróż sentymentalna? Że niby do miejsc tak dobrze pamiętanych sprzed 1939 i po 1945 roku? Nic bardziej mylnego. **"Zezwolenie na ekshumację nie jest panu właściwie potrzebne. Matka pana pochowana została, jak pan twierdzi, ponad dwadzieścia lat temu, a pozwolenie wymagane jest przed upływem dwudziestu lat"** - odnotował odpowiedź urzędniczki. Nie wiedziałem, że pani Jadwiga z Kozłowskich Przybora umarła nad Brdą. Wychodzi na to, że po ostatecznym opuszczeniu miasta przez Poetę jego rodzicielka cały czas TU mieszkała (z córką i zięciem - co odnajdujemy we wspomnieniu)? Zerkam na zdjęcie grobu ojca. Nie ma tam śladu po pochówku z lat 80-tych XX w. Za to czytamy taki fragment wypowiedzi stroskanego syna: **"Chcę teraz przenieść jej prochy do rodzinnego grobu pod Warszawą. Nie mogę powiedzieć, żebym oddawał się zbyt sumiennie pielęgnacji grobów bliskich, ale odległość tego miasta..."**.

Z czytaniem wspomnień mistrza Jeremiego jest chwilami, jak z lekturą Anonima Galla: trudno dociec prawdy. Choć tu [czytaj: "Dziełach (niemal) wszystkich", tomie III], nie znajdziemy wtrąceń typu *"tyle wszakże można powiedzieć..."*, to jednak Szacowny Autor zawoalował niektóre treści. Drobinę tego już mamy powyżej. Co tym razem? Konia z rzędem temu, kto wydedukuje, na jakim cmentarzu pochowana została pierwotnie pani Jadwiga. **"Zmierzch już zapadał, kiedy zjawilem się na cmentarzu"** - i kropka! Żadnej wskazówki. To nic, że dalej wspomnienia stają się poetycką peregrynacją: **"Po alejkach cmentarza snuły się cmentarne smutki"**. Mamy TO samo? **"Zawsze na cmentarzu najtrudniej mi myśleć o pochowanych tu bliskich. [...] Za chwilę miała się ukazać moim oczom mama, a właściwie to, co po niej zostało po ponad dwudziestu latach spoczynku w tej obcej jej ziemi obcego miasta"**. Przyznam, że trochę mnie... ubodły te słowa o obcości Bydgoszczy. Z czasem dam tego wyraz, ale czyż Mistrz nie nazywał tego miasta swoim Neapolem? Paralela nie wzięła się z kosmosu czy kaprysu poetyckiej duszy. Obca?

Chciałbym widzieć, jak Jeremi Przybora siadł na skraju pobliskiego grobu. I czekał. Czekał na ponowne spotkanie z mamą. Zostawia potomnym opis rozkładu, marność, nagich kości? Niedoczekanie. Nie szukajmy w lekturze wspomnień TAKIEJ osobowości taniej sensacji. Przygotujmy się na spotkanie z prawdziwą poezją: **"...zamiast szczytków mamy ukazała mi się ona nagle w całej okazałości swoich czterdziestu lat, taka, jaką pamiętam z dni najdawniejszych. A w ślad za nią z otwartego łona ziemi wylaniać się zaczęły postacie bliskich, przyjaciół, znajomych, którzy w niej spoczywali. Rozchodzili się promieniście we wszystkich kierunkach, mieszając się z mgłą, zmierzchem i nikać w perspektywie alejek"**. Przepisując te słowa naszło mnie, że czuję ducha malarstwa Jacka Malczewskiego. Ten wyjątkowy dzień, zawieszony między jawą a snem, mistrz Jeremi zamknął wizją kolejnego spotkania z... ojcem: **"Przedemną stała w całej swej krasie kwitnąca czereśniowa aleja. Ojciec skinął na mnie z głębi samochodu. Usiadłem obok niego i ruszyliśmy aleją ku wzgórzom, na którym majaczyły w dali zarysy domu wśród wysokich drzew ogrodu..."**. Koniec. Kropka.